

"Moje dni, które już nie powrócą (A. Jakubowska)"

Anna Jakubowska ps. "Paulinka" sanitariuszka i łączniczka Batalionu "Zośka". Urodzona w 1927 r. Wychowała się w rodzinie inteligenckiej, jej ojciec był inżynierem agronomem, zmarł przed wojną w 1933 roku. Annę wraz starszą siostrą i młodszym bratem wychowała mama, która była nauczycielką w szkole średniej.

Wrzesień 1939 r. - Styczeń 1941 r.

Zacząła się wojna... Jak na razie musimy normalnie chodzić do szkoły (szkoła prywatna Jadwigi Kowalczykównej i Jadwigi Jawurkównej). Czuję się bezbronna, nie mam wpływu na to co się dzieje wokół mnie. Nie chcę tak żyć, chcę się chociaż w małym stopniu przyczynić do wolności Naszej i Naszego kraju. Starsze dziewczyny ze szkoły wciągnęły mnie w konspirację, a że u nas nie ma harcerstwa, dlatego działamy w ramach akcji PET. Nie podoba mi się to. Miałam nadzieję, że pójdę walczyć, pomagać a oni mi karzą się uczyć i samodoskonalić.

Nareszcie przyszedł ten moment, kiedy nie muszę siedzieć i się uczyć. Zostaje wciągnięta do udziału w akcji "Wawer". Mam za zadanie dokładnie obserwować niemieckie samochody, które wjeżdżają i wyjeżdżają na trasę wylotową oraz spisywać ich numery. Nie rozumiałam czemu to ma służyć, ale z czasem zorientowałam się, że można przez to zobaczyć ustalony ruch Niemców.

Po akcji Wawer zaczynamy działać również w szkole. Wraz z moimi koleżankami z klasy nie możemy zbyt wiele zrobić, dlatego postanawiamy zorganizować akcję, polegającą na zbiorze książek, które następnie prześlemy do naszych ojców i dziadków przebywających w oflagach. Ogłosiłyśmy zbiórkę wszystkich książek jakie tylko ktoś miał do oddania. Współpracujemy z "Inką", która prześle nasze zbiory. Jestem bardzo zadowolona, ponieważ książek jest coraz więcej, wiele ludzi nam pomaga, tylko jest jeden problem. Lektury kolekcjonujemy w szkole, a nasi nauczyciele nic nie wiedzą, jak wyjdzie to na jaw będziemy miały kłopoty.

Nie myliłam się. Kierownictwo szkoły dowiedziało się o naszej akcji, kazali nam przestać. Nie dajemy za wygraną i doprowadzimy naszą akcję do końca, dlatego przyśpieszamy przekazanie i wysłanie książek.

Wszystko poszło łatwiej niż myślałyśmy. Książki przekazane, niedługo trafią do żołnierzy i oficerów. Jesteśmy z siebie dumne i szczęśliwe, z tego, że zrobiłyśmy coś dobrego. Niestety dzisiaj dostałyśmy informacje o zawieszeniu nas

w prawach ucznia i o konieczności stawienia się u dyrekcji szkoły z rodzicami.

Gdyby nie wojna, wyrzucono by nas ze szkoły.

[...]

Początek 1942 r.

Za mną bardzo ważny okres. Organizacja PET łączy się z Szarymi Szeregami, a ja wraz z koleżankami zostajemy przeszkolone na sanitariuszki i łączniczki, po czym zostałyśmy przydzielone do plutonów chłopców. Mi odpowiadało to, że jestem z nimi i mogę walczyć, ale chłopcy jak sami mówili nie chcieli w swoich szeregach kobiet. Nie rozumiem ich, przecież też umiemy coś zrobić, być dyskretne i odpowiedzialne. Mimo niechęci kolegów z oddziału, dowódca był zadowolony, że dostałam do niego przydział. Na początku współpracy z nim dał mi truciznę, która w pewnym sensie ma mnie chronić. Jak będę miała w przyszłości sytuację, w której nie będzie innego wyjścia tylko sypnąć moich, to mam ją wypić. Trochę to dziwne dać piętnastoletniej dziewczynie coś, co mogę wypić w każdej chwili i co może mnie zabić, ale czułam odpowiedzialność za siebie i za chłopaków.

[...]

Lipiec 1944 r.

Zbliża się koniec lipca. Jest bardzo dziwna atmosfera. Czuć napięcie, wiadome jest, że coś się wydarzy. Wiem, że zbliża się powstanie, dlatego wraz z moją sekcją sanitariuszek zaczynamy się przygotowywać. Kompletujemy wszystkie niezbędne rzeczy, które musimy podzielić na dwie grupy. Jedną z nich to torba sanitarna, do której wkładamy różnego rodzaju opatrunki, leki i inne materiały sanitarne, a drugą grupą są nasze rzeczy osobiste. Podstawowym elementem naszego ubioru są wygodne buty, ale również potrzebujemy bluzek i tak zwanych spódnico-spodni.

Chcę powstania, chcę żeby w końcu przyszła wolność, chcę żeby to życie, które obecnie jest się skończyło, chcę żeby było lepiej. Nie interesują mnie uwarunkowania polityczne, powstanie to jedyny sposób żebyśmy byli wolni. Denerwują mnie ciągle zwoływane i odwoływane alarmy, chcę zacząć walkę o wolność.

Sierpień 1944 r. - Wrzesień 1944 r.

W końcu przyszedł ten wyczekiwany dzień - 1 sierpnia. Zostajemy poinformowani o miejscu i godzinie koncentracji. Wraz z koleżanką rykszą udajemy się na miejsce koncentracji "Zośki". Gdy docieramy na miejsce pierwszy raz widzę ile nas jest. Nie miałam pojęcia, że "Zośka" jest taka duża. Miedzy Nami panuje niezwykła radość, chcemy już zacząć walkę. Wiemy, że nasze zwycięstwo jest na wyciągnięcie ręki. Dwa, trzy dni i będziemy wolni. Każdy z nas ma na prawym ramieniu białą czerwoną opaskę. Idziemy walczyć za Polskę i za nasze przyszłe lepsze życie.

Rozpoczęło się... Walczymy staramy się, a ludność cywilna wspiera nas tak mocno jak tylko może. Wynoszą nam jedzenie, picie, przekazują prześcieradła, z których robimy opatrunki, pomagają nam z całych sił. Pokładają nadzieję, że przyniesiemy im wolność i spokój. Obiecuję zrobić wszystko, co mogę, aby ich nie zawieść. Pierwsze godziny walki, a moja najlepsza przyjaciółka ginie. Jestem w takiej euforii spowodowanej zbliżającą się wolnością, że wydaje mi się: ona wyjechała, chwilę jej nie będzie i wróci. Dociera do mnie, że nie jest to zabawa tylko walka o życie. Chcę iść na linię walczyć, jednak zostaje przydzielona do punktu sanitarnego pod kierownictwem doktora Broma Zygmunta Kujawskiego. Po przydzieleniu przyszedł czas na wyczekiwaną konkretną akcję, która polegała na odbiciu panczerki przy cmentarzu Powązkowskim. Wraz z moją koleżanką Joasią przenosiłyśmy naszego ciężko rannego dowódcę. Został ranny w rękę, nogę i szyję. Rana w szyję stała się dla niego śmiertelna. Była to moja największa akcja jak do tej pory i mam nadzieję na więcej.

Długo nie cieszyłam się możliwością walki, ponieważ zostałam poważnie zraniona w stopę. Stało się to gdy pełniłam dyżur w budynku na Okopowej i przez okno wpadł jeden jedyny odłamek granatnika i to właśnie on mnie zranił.

Nie było możliwości jakiegokolwiek operacji. Usunięto mi duży palec u stopy i przewieziono mnie na Stare Miasto.

Nie chcę trafić do szpitala, dlatego wraz z moją koleżanką Julią Komornicką przebywamy w prywatnej stróżówce w mieszkaniu jednego z kolegów. Leżymy we dwie na jednoosobowym łóżku. Koledzy dostarczają nam jakieś marne jedzenie. Leżąc mam czas na rozmyślanie. Doszłam do wniosku, że zaczyna mnie paraliżować strach. Gdy byłam w pełni sił czułam się wszechmocna, a teraz czuję się słaba, zależna od czyichś czynów i nie mam na nic wpływu. Nienawidzę być bezsilna.

Po pewnym czasie odwiedził nas doktor Brom. Prosiłam go o to, aby pozwolił mi walczyć. Mam mu za złe, ponieważ nie zgodził się na początku. Oglądając moją stopę stwierdził, że wcale się ona goi, ale mój upór przekonał go. W tym momencie kończę bezczynne leżenie w łóżku, mogę coś zrobić, znowu pomóc. Mimo bólu stopy nie poddaje się. Dostałam przydział jako pomocnicza sanitariuszka w szpitalu na Miodowej 23, w którym dowodził doktor Kujawski. Zaczął się okropny okres na Starym Mieście. Z dnia na dzień przynoszą do nas więcej i poważniej rannych, widzę więcej zabitych. Wśród rannych spotkałam moją koleżankę Komornicką. Nie mogę patrzeć na jej cierpienie, jest ranna w głowę, nie mam jak jej pomóc. Brakuje wszystkiego: leków, opatrunków, a ona jest taka dzielna, walczy o życie.

Kilka dni później Stare Miasto skapitulowało, a Julia została w szpitalu. Nie była w stanie przejść kanałami. Mam wyrzuty sumienia. Powinnam zostać na Starym Mieście z nią i z moją siostrą.

Dwa dni przed kapitulacją moja kochana siostrzyczka została ranna. Koledzy wiedzieli, że jestem na Miodowej, więc przynieśli ją do mnie do szpitala. Była ona ranna w obie nogi. Miała je prawie całkowicie zmiążdżone. Zaraz potem dostałam rozkaz przejścia kanałami do Śródmieścia. Nie chciałam iść. Nie chciałam zostawić siostry i przyjaciółki na pastwę losu, a nie były one na siłach, aby przejść razem z nami. Niestety rozkaz to rozkaz i trzeba go wypełnić. Wychodząc ze Starego Miasta, miałam jedynie nadzieję, że uda mi się wrócić z lekami, opatrunkami, i że uda się zabrać dziewczyny z tego szpitala. Nie stało się tak. Kilka dni po moim wyjściu dowiedziałam się, że szpital na Miodowej został zbombardowany, jeszcze przed całkowitym wkroczeniu Niemców na starówkę.

Kanałami wraz z grupą rannych dotarłam do Śródmieścia. Przejście kanałami jest okropne. Niesamowity smród i odór, bardzo duszno, człowiek czuje się bezradny, nie może uciekać tylko musi iść przed siebie. Najgorsze, co do tej pory przeżyłam - kanał. Jestem na Śródmieściu, rozglądam się i doznaje szoku. W oknach są szyby i firanki. Nie ma tu takich zniszczeń, jakie widziałam w innych dzielnicach. Od paru miesięcy czegoś takiego nie widziałam. Tutaj dostałam to czego pragnęłam-chwilę odpoczynku. Nie trwał on zbyt długo, bo przyszedł rozkaz przejścia na Czerniaków. Gdy już dotarliśmy otrzymałam funkcje dorywczej sanitariuszki, ale tak na prawdę robię wszystko, gotuję, sprzątam, opatruje i przenoszę rannych. Są to już działania, które prowadzą do rozpacz. Nie ma tu już zwycięstw, jest coraz więcej rannych. W tym momencie nie walczymy już o wolność, a o godną śmierć.

Mamy broń, ale co z tego, nie mamy amunicji, nie mamy wody i jedzenia. Nasza klęska się zbliża wielkimi krokami.

Październik 1944 r.

Koniec jest bliski, dlatego wraz z dwoma kolegami postanawiamy przedostać się na drugą stronę Wisły. Tu jest kłopot, ponieważ każdy z nich jest ranny w rękę, a ja nie umiem pływać. Chłopaki wymyślili, że położę się na podłożu kajaka, który znaleźliśmy, a oni trzymając się jeden z jednej, drugi z drugiej strony, będą chcieli przepłynąć. Nasz pomysł nie miał szansy powodzenia. Ja ciągle się zsuwałam z desek, a oni nie byli w stanie płynąć. Dlatego postanowiliśmy w inny sposób wydostać się z Warszawy. W miarę możliwości przebraliśmy się za cywili i weszliśmy do piwnicy, w której przebywała ludność cywilna. Po pewnym czasie wpadli tu Niemcy. Rzucali granaty i kazali nam wyjść z tej piwnicy. Wywieźli nas na Szucha, a potem na Pl. Narutowicza. Tam przeprowadzali selekcję ludności. Następnie wyselekcjonowanych ludzi, w tym mnie i mojego kolegę, przetransportowano do Pruszkowa. Mam szczęście, po kilku dniach wydostałam się wraz z kolegą z Pruszkowa, ale nie mam gdzie się teraz podziać. Moja mama jest po drugiej stronie Wisły, ze zmienionym nazwiskiem, nie wiem jak jej szukać. Mój dom pewnie już nie istnieje. Jestem bardzo wdzięczna, ponieważ mój kolega zabrał mnie do siebie do podwarszawskiego Brwinowa, a jego rodzina otoczyła mnie ogromną opieką. Czułam się u nich jak w domu.

[...]

Karolina Banaszek